

26

# Na małych scenach Krakowa

**W**SZYSTKIE teatry dramatyczne w Krakowie mają oprócz głównych scen małe sceny, na których gra się przedstawienia kameralne bądź spektakle nurtu mniej oficjalnego, bardziej eksperymentatorskiego. Są to niekiedy rzeczy bardzo ciekawe i wartościowe, przemawiające jakby z boku, ale głosem docieklwym i dojmującym.

Oto parę takich przedstawień.

Na dużej scenie Teatru Bagatela idą od paru miesięcy „Niedole cnoty” według markiza de Sade, wulgarnie, brzydkie, koślawo zrobione, bezsensowne. A na małej scenie na piętrze gra się „Abelarda i Heloizę” Ronalda Duncana, korespondencję sceniczną, spolszczoną przez Jerzego S. Site, w reżyserii Henryka Boukołowskiego, ze scenografią Marii i Jerzego Boduchów i muzyką Janusza Butryma. Duncan inspirował się tylko korespondencją sławnej dwunastowiecznej pary tragicznej miłości, ale pozostał wierny dramatowi dwójga wielkich imion, wzbogacając go o pogiębiony watek psychologiczny. Historia, legenda, literatura związane z tymi nieśmiertelnymi imionami, powracająca fascynacja ich perypetiami, tragicznym pięknem ich walki o siebie — pozostaną już chyba na zawsze natchnieniem wielorakiej twórczości. Zobaczyć ich na scenie, żywych, zmagających się z sobą, ze światem, z Bogiem... Głód wyobraźni przytłumia wiedzę. Są, mówią, płaczą, modlą się, krzyczą. Czy tacy, wyprowadzeni wiernie z wyobraźni? Takich nie zobaczy się nigdy. Tamtych dwoje, prawdziwych, z mroku rozedrganego przejmującymi błyskami nie wydobędzie się już w światła rampy. Będziemy oglądać jedynie ich sceniczne cienie. Owe cienie w Teatrze Bagatela — za sprawą Krystyny Stankiewicz i Piotra Różańskiego — pięknie w niektórych momentach ożywały, nasycali się krwią i łzami, rozjaśniały się spojrzeniem i gestem, stawały się pełnym ważkich treści uniwersalnym przesłaniem. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby Krystyna Stankiewicz pewniej panowała nad tekstem i ruchem scenicznym, gdyby Piotr Różański przydał swemu Abelardowi więcej finezji. Lecz i tak, jak jest, dzięki aktorom oraz trafnej dekoracji i muzyce — widz ma możliwość przeżywania niezwykle przegrody Abelarda i Heloizy oraz prawdy o sobie.

**T**EATR STU, jeśli nie występuje z wielkimi widowiskami pod namiotami, jest małą sceną; jest w ogóle teatrem specyficznego klimatu, wytwarzanego przez przytulność wnętrza i przez sympatyczny personel obsługi, może przede wszystkim przez samego szefa, Krzysztofa Jasińskiego, który (może tylko na premierach) tak ładnie i troskliwie potrafi być wśród czekających na przedstawienie gości, jakby ich wprowadzał na kameralne spotkanie domowe. Więc już siedzimy, wszyscy szczerle pomieszczeni pod jego czułym patronatem, i ma się zacząć przedstawienie „Zabawy” Mroźka z udziałem trzech aktorów. Zupełnie tak, jak przed kilkoma miesiącami, kiedy to przyszło nam się zachwycać mistrzowską sztuką aktorską braci Grabowskich, Andrzeja i Mikołaja, a szczególnie Jana Peszka w „Scenariuszu dla trzech aktorów” Bogusława Schaeffera. Była to wyrafinowana, perfekcyjna gra sceniczna, owszem, lecz nade wszystko niemal improwizacyjna, antyschematyczna radość bycia na scenie, manifestacja wolności, wygrywanie siebie dla siebie i dla widzów stojących się niekiedy uczestnikami.

Teraz Mroźek. Rzecz wyreżyserowana i oprawiona scenograficznie przez Krzysztofa Jasińskiego, z muzyką Jana Kantego Pawłuskiewicza. Na scenę — świetlicę z długim pustym stołem — wpada z hukiem trzech chłopaków — parobków, przepisowo ubranych w czarne garnitury, żadnych zabaw, takiej z muzyką, tańcem, wódka, rozróbą. A zabawy nie ma, co widać od początku, ale oni nie chcą w to uwierzyć, zatem badają rzeczywistość bezzabawową i wrzeszczą: „Ludzie! Ludzie! Gdzie się bawią?” „Dlaczego nam nie grają?” Zaczyna się zabawa — inna: widzowie zaczynają się bawić tymi trzema, a są nimi: Jan Piotrowski, Andrzej Róg i Stanisław Gąsienica-Szymków. Oni muszą mieć — oberka i ćwiartkę. Zatem rozpoznają sytuację pustej i milczącej świetlicy, popadają we frustrację, wreszcie wyzwalają z siebie instynkt, kabsotyństwa i agresji, nawet przeciwko sobie nawzajem. Bywa to komiczne. Młodzi aktorzy starają się, wariują na scenie, szaleją ukazując swoje duże możliwości mimiczne i kinetyczne, popisując się umiejętnościami nuansowania gestu, modulowania głosu. I nie ma tego oczekiwanego, oszałamiającego efektu. Nawet nie dlatego, że to aktorzy mniejsi od Peszka i Grabowskich. Chyba dlatego, że owo dzwisk, zamroczone instynktem i obyczajem łaknienie zabawy prostaków, którym tak niewiele trzeba było do szczęścia, nie zderza się już z naszym doświadczeniem, nie szarpie współczesnego unerwienia, tak powikłanego i obrośniętego trudną jeszcze do odczytania wrażliwością, wrażliwością może zmęczoną i spragnioną innych doznań.

**S**TARY TEATR, w piwnicy przy ul. Sławkowskiej wystawia „Ludzi cesarza” Zygmunta Hübnera, w reżyserii Adolfa Weltscheka i ze scenografią Pawła Dobrzyckiego. Obsada: Stefan Szramel, Aleksander Fabisiak, Jerzy Grałek, Jan Güntner, Leszek Świigoń. Świetni aktorzy. Mądre i przekorne przedstawienie, odwołujące się postaciami, intrygą, kostiumem do czasów Nerona. Centralnym tematem są postawy moralne. Tu ujawniają się w ramach procesu sądowego, w którym wyrok na oskarżonych wydają sami widzowie. Seneka, Petroniusz oraz konsul Trazea reprezentują trzy różne postawy i racje — racje kolaboranta, estety i emigranta wewnętrznego. Otóż i problem: kto ponosi winę za zbrodnię Nerona? Jest o czym myśleć. Trudno nie uczestniczyć w przewodzie sądowym. Tym bardziej, że sztuka odznacza się wysoką kulturą słowa, znajomością epoki i łatwością rozmawiania z widzami. Została napisana przez znakomitego reżysera i aktora. Żyje ona moralnym napięciem i odczytywalną aluzją.

**M**AŁA scena Teatru Ludowego w Krakowie-Nowej Hucie nazywa się „Nurt”. To tu właśnie przed paroma laty grane było „Milczenie” Brandstaettera, na które autor jeszcze zdążył przybyć z Poznania, choć nie zachwycił się przedstawieniem, bo i nie miał czym.

W grudniu 1987 r. na scenie „Nurt” odbyła się polska prapremiera sztuki Aleksandra Wołodina „Znienacka w plecach kryminala z epoki kamienia łupanego”. Przekład i reżyseria: Matylda Krygier, scenografia: Krzysztof Wejman, muzyka: Janusz Butrym, ruch sceniczny: Krzysztof Jedrysek.

Program teatralny do przedstawienia otwierają dwa cytaty-motta, nad którymi warto się zastanowić nie tylko w kontekście scenicznego dramatu: „Niechaj ci, co zwykli mówić prawdę, nie liczą na niczyje poparcie na tym świecie” (Montesquieu), „Nadzieja jest drugą duszą nieszczęśliwych” (Goethe). Sztuka jest jeszcze o czymś, co zabija nadzieję i co kłamstwem gwałci prawdę — o strachu. „Znienacka w plecach...” jest może przede wszystkim sztuką o zniewoleniu i o unicestwiającej sile strachu, który zamyka usta, paralizuje wole i każe milczeć lub kłamać „Każdy człowiek się czegoś boi” — powiada Naczelnik. Czyżby współczesne przedłużenie rosyjskiej literatury dramatycznej na temat strachu? W tymże teatrze oglądałem przed rokiem „Rewizora” Gogola, przedstawienie, w którym postacie śmieją się i przerażają w swym infantylnym, religijnym niemal smetaniu strachem („Kiedy możnawładca przemawia, chwytają człowieka strach”). Przed dwoma zaś laty w Teatrze im. Słowackiego, za dyrekcji Mikołaja Grabowskiego, również przerażałem się rozmiarami zła, rozpoznoszonego w „Małym bieście” Fiodora Sołoguba. Na scenie kłębiło się życie szatańsko przemienione w ponure królestwo grozy, życie mizdrzące się skretyniałym kuglarstwem i podrygujące cyrkowo uszmiłkowaną farsą — pod dyktando strachu.

Strach króluje we współczesnym dramacie Wołodina, który, wiedziwnie nie tylko ambicją uniwersalizmu, akcie utworu przenosi w zamierzoną przeszłość epoki kamiennej. Oczywiście, mamy na scenie melanz elementów tragedii i komedii, romansu kryminalnego i fantastycznej baśni, przypowieści filozoficznej i społeczno-politycznej metafory. Historyczno-kostiumowe odwołania nie przeszkadzają w odczytaniu aluzji do współczesności. Oścień dramatu jest wyrazisty: brutalna siła i kłamstwo zwyciężają prawdę, zabijają nadzieję. Mechanizm powszechnego zniewolenia roztacza się od mroków prymitywnej wspólnoty po współczesne postępowe ideały pokoju, ładu, sprawiedliwości. „Jak zgodny oszczeli rój z kwiatów spijemy wonne soki, złocistym miodem wypełnimy barcie, złocistym plastrzem zakleimy usta” Wódz orzeka, że dla takiej świetlanej przyszłości — „bezużytecznych pożytecznie jest likwidować.”

Wołodin napisał ten utwór w 1980 r. Nie mógł go inaczej napisać. Nie mógł zdjąć z niego metafizycznego kostiumu. Dziś te zawoławanta powoli opadają i odsłaniają coraz więcej prawdy. Wykonawcy nowohuckiego spektaklu: Andrzej Siabiński, Dariusz Gnatowski, Marian Jaskulski, Jarosław Szvec, Piotr Piecha, Adam Sądzik, Barbara Szałapak, Ziuta Zajacówna, Ewa Czajkowska, Zdzisława Wilkówna, Maciej Słota — aktorowo bez zarzutu, sprawnie prowadzeni przez Krygier i Jedryskę, grają poprawnie role członków plemienia, przez które przechodzi śmierć i usuwa prawdomównych, odważnych i uczciwych. Woleliby z pewnością wyjść z odległej przeszłości, wdziać współczesne ubrania i odegrać dramat w scenarii zbrania sobie z doświadczenia lub przynajmniej ze zwierzeń starszych przajaciół. Dramat — w każdym geście, w każdej kwestii — zaikrzyłby się bliską prawdą.

KAZIMIERZ KANIA